NOWELE POWIEŚCI







Cena 10 zł.

M. Zydler

Z ramion śmierci

Na krótko przed pierwszą wojną światową do jednej z rodzin polskich, osiadłych w Rewlu, został przez przyjaciół wprowadzony pewien młody Polak, oficer rosyjskiej marynarki wojennej. Na morze skierowało go mocne, z dna duszy płynące powołanie, to też poczuł się boleśnie dotknięty, kiedy pan domu, Polonus starej daty, z sumiastym wąsem i twardymi zasadami, wyraził z dobroduszną szczerością zdziwienie, że wśród Polaków znajdują się ochotnicy do służby carskiej.

Dotknięty do żywego gość, który z domu rodzicielskiego wyniósł trwałe tradcyje walk o wolność, blady od gniewu, zapomniał wówczas o konwenansach obowiązującej grzeczności i wygłosił gwałtowną, akcentowaną uderzeniami pięści w stół, przemowę, której sensem było, że Polacy powinni uczyć się od swoich wrogów tego, co może im się przydać, przede wszystkim zaś rzemiosła wojennego.

— A odrębność swojego pochodzenia powinniśmy podkreślać nie pustymi słowami, lecz czynem, który wyróżniłby nas od obcego otoczenia! — rzucił wyzywająco na zakończenie i trzasnąwszy drzwiami, opuścił stropione towarzystwo.

— — — — — — — — —

Okręt podwodny „A. G. 15", wyprodukowany w USA. i zmontowany w warsztatach okrętowych Rewla, przechodził ostatnie ćwiczenia przed wcieleniem w skład cesarskiej floty bałtyckiej. Sprawnie słuchał ręki człowieka, zanurzał się i wychodził na powierzchnię w czasie rekordowo szybkim, nie notowanym dotychczas w praktyce rosyjskich łodzi podwodnych. Wentylacja, stanowiąca jedną z najdokuczliwszych bolączek okrętów podwodnych starego typu działała bez zarzutu, obsługa peryskopów była łatwa, kajuty wygodne, a nawet, wobec dotychczasowej rzeczywistości, komfortowe, naturalnie w granicach dopuszczalnych na takim ciasnym okręcie, jakim jest łódź podwodna, to też nic w tym nie było dziwnego, że załoga promieniała radością. Nawet sztywny, zamknięty w sobie dowódca okrętu zapomniał o codziennej swojej wyniosłości i od czasu do czasu rzucał jakieś łaskawe a dowcipne słowo, które działało na oficerów, jak kieliszek szampana.

Pogodny nastrój dowództwa udzielił się załodze, wśród której raz po raz dawały się słyszeć słowa swoistego, dosadnego humoru i wybuchy krzepkiego jak zdrowie, zgranego śmiechu. To znów padały butne pogróżki i złośliwe docinki pod adresem Niemców, którzy zapewne nie domyślali się nawet, że już wkrótce wypadnie im spotkać się z bitnością Rosjanina, zaopatrzonego w precyzyjną broń amerykańską.

Ten podniecony, hurra-patriotyczny nastrój podniósł się jeszcze w czasie obiadu, który, spożyto z przysłowiowym marynarskim apetytem i dopiero rozkaz dowódcy: „Obserwator w dół!... Do zanurzenia!", poparty przeciągłym i przenikliwym klaksonem, zamknął usta dowcipnisiom i ubrał twarze w powagę.

Wszystko szło zwyczajnym trybem. Ustał łoskot silników Diesla, świst powietrza, uchodzącego z wentylatorów, mieszał się z bełkotem wody, przelewającej się w rurach i centralnym zbiorniku obciążającym, kiedy nagle z najbliższego przedziału dobiegły głosy niedopuszczalnego zamieszania, głośne, soczyste klątwy i szum wody, spadającej do wnętrza okrętu.

— Luk!... Luk otwarty! — wołano rozpaczliwie.

Zastępca dowódcy skoczył tam co żywo, ale zaradzić nieszczęściu już nie mógł. Przez szeroko otwarty luk wdzierała się gwałtownie woda z ciśnieniem rosnącym w miarę opadania okrętu. Pobiegł z powrotem do kiosku, gdzie mieści się stanowisko bojowe dowództwa, ale zobaczył tam tylko nogi swojego przełożonego, znikające właśnie w otworze, który przez „nawigacyjną" i pomost prowadzi na zewnątrz. Za dowódcą okrętu wspiął się z kocią zwinnością, której po jego kształtach nikt by się nie spodziewał, gruby oficer-artylerzysta, za nim zaś z ciężkim przekleństwem — bosmanszef, przypadkiem również znajdujący się wówczas w kiosku.

Oficer rzucił się za nimi ku otworowi, za którym było ocalenie, gdzie było życie..., kiedy spostrzegł na wysokości swoich stóp upiornie bladą twarz sternika. Twarz ta patrzyła w górę pociemniałymi od grozy oczyma, z których krzyczała rozpacz i obłąkanie... To był jeden z nich, z załogi!... Co się stanie z załogą, jeżeli opuszczą ją wszyscy oficerowie?

Zdecydowanym ruchem uchwycił ucho włazu i zamknął go z trzaskiem, mając nieodparte wrażenie, że zamyka wieko własnej trumny. Poczuł obmierzłe zimno na skórze czaszki, ale mutrę dokręcił z osobliwym zadowoleniem, graniczącym z pasją.

Zeszedłszy bez pośpiechu na dół znalazł się wśród wylęknionych marynarzy, którzy na ogół nie zdawali sobie jeszcze sprawy z tego, co zaszło. Otoczyli go bezradnym kołem.

Niespodziewanie dla samego siebie, poczuł miłość do tych prostych ludzi, wyprawionych przez surowe, twarde życie na jucht, którzy teraz, w niebezpieczeństwie garnęli się do niego, jak dziecko do matki, szukając opieki.

Tymczasem z zalewanego przedziału dobiegał wciąż szum wciskającej się wody. Polecił zamknąć hermetyczne drzwi, jakie zawsze są pomiędzy poszczególnymi przedziałami okrętu i wstrzymał dalszy dopływ wody do zbiornika obciążającego.

— Nie bójcie się, — powiedział mocno. — Wszystko będzie dobrze.

Jego spokój, jakkolwiek udany, podziałał na nich zbawiennie. Nagle podłoga szarpnęła im się pod nogami. Okręt przestał opadać i osiadł na dnie. Skończył się akt pierwszy dramatu.

Część załogi w obawie przed wciskającą się wodą zamknęła się już przedtem w przedziale maszyn. Pozostałą część, w liczbie dwunastu ludzi, oficer zgromadził w przedziale przednim, również zamykając drzwi hermetyczne. Światło zgasło i ciemności rozpraszała tylko maleńka, dwuwoltowa żarówka, zasilana baterią od kompasu.

—Nasz kapitan nie taki, jak inni panowie oficerowie — odezwał się z ponurym uznaniem jeden z marynarzy, olbrzymie chłopisko z ogoloną przy skórze czaszką i wydatnymi kośćmi policzkowymi.

— Nie zostawił nas samych na zgubę — dodał drugi.

I z nagłą zmianą nastroju, tak właściwą słowianom i wszystkim narodom młodym, przerzucili się niespodziewanie od trwożliwej bezradności do optymizmu, którego niestety nie podobna było niczym usprawiedliwić.

W mesie ukazał się na stole gramofon. Pomiędzy stalowymi ścianami, gdzie wątłe światło mikroskopijnej żarówki zaledwie wyłuskiwało z mroku twarde kontury błyszczących niklem instrumentów i krągłe linie ostrzyżonych głów marynarskich, rozległy się chrapliwe dźwięki „Mugdeneczki“, modnego ongi przeboju. Dla uszu oficera brzmiały one w tych okolicznościach rozdzierająco, ale że podnosiły na duchu załogę, więc się nie sprzeciwiał. Różne pomysły ratunku na podobieństwo palących iskier przebiegały mu przez obolały od wytężenia mózg.

Wiedział, że ludzi tych musi ocalić, ale jak?... Nagle uderzył się dłonią po czole, bo wydało mu się, że znalazł, czego szukał. Są przecież w przedziale przednim, mają dostęp do wyrzutni torpedowych!... Możnaby zamiast torped wyrzucić na powierzchnię ludzi, a tam już wyłowią ich braciamarynarze, którzy niewątpliwie zauważyli zatonięcie okrętu i zorganizowali ratunek. Zaproponował to załodze, ale spotkał się ze stanowczą odmową.

— Nie, — wyraził olbrzymi mat myśli wszystkich. — Ty nas do tego nie namawiaj!... To już prosto śmierć.

— My poczekamy, póki czego innego nie wymyślisz — dodał inny. — Szkoły kończyłeś, nie tak, jak my, ludzie nieuczeni, to i pewno wymyślisz... A nie uda ci się i przyjdzie nam umrzeć, to i pomrzemy w gromadzie.

Oficer nie dziwił się zresztą ich niechęci do tego eksperymentu, który istotnie mógł skończyć się tragicznie. Ale pomyślał, że jeżeli ludzie nie chcą, to można by jednak tą samą drogą zawiadomić tych tam na powierzchni, że załoga żyje i czeka na przyśpieszenie ratunku.

I z wyrzutni zatopionego okrętu wybiegła torpeda z przymocowanym do głowicy odpowiednim pismem, które też — jak słusznie się spodziewano — doszło rąk, kierujących ratunkiem.

Wody wciąż przybywało. To nity w ścianie zbiornika obciążającego nie wytrzymały ciśnienia z zewnątrz. Oficer otworzył kran od powietrza sprężonego, aby przez zwiększenie ciśnienia wewnątrz przedziału zrównoważyć ciśnienie zewnętrzne. Ale powietrza trzeba było oszczędzać, więc poziom wody w przedziale, chociaż wolniej, podnosił się stale. Wkrótce zamilkł gramofon, zalany wodą. W tej samej chwili z dalszych części okrętu dobiegły — wzmocnione przez rezonans stalowych ścian — głuche odgłosy wystrzałów. Mogły one mieć tylko jedno znaczenie...

Pełen otuchy nastrój, który do tej pory panował wśród załogi przedziału przedniego, załamał się nagle. Jedni zaczęli modlić się głośno, inni pogrążyli się w ponurym milczeniu, mat-torpedysta zaniósł się spazmatycznym płaczem, który u tego atletycznie zbudowanego chłopa brzmiał wręcz nieznośnie i szarpał naprężonymi do ostateczności nerwami załogi.

Nastroju tego nie zdołał nawet rozproszyć nieoczekiwany chrobot metalu, pochodzący z zewnątrz. Był to nurek, który odnalazłszy zatopiony okręt, napróżno usiłował przełożyć łańcuch przez ucho ratownicze, udaremniał mu to bowiem silny prąd podwodny.

Woda podnosiła się nieubłaganie, powietrze stawało się coraz gorsze. Zgasła wreszcie żarówka, której nikłe światełko było dla nieszczęśników symbolem nadziei, zapanowały nieprzeniknione, czarne ciemności. Woda stopniowo podeszła im już pod szyje. Stali wyciągając głowy ku sklepieniu, gdzie było jeszcze powietrze, życie... Nie wszyscy jednak, wśród pięciu żywych bowiem pływało już osiem trupów, odpychanych ze zgrozą.

Wtedy oficer, którego mózg nie przestawał ani przez chwilę logicznie pracować, postanowił działać. Dokonawszy w pamięci potrzebnych obliczeń, ustawił czterech swoich towarzyszy pod lukiem, jednego za drugim ubranych w ceratowe płaszcze i pasy ratunkowe i wypuścił resztę powietrza sprężonego. Potem wspiął się po żelaznych szczeblach schodni i odkręcił mutrę włazu. Arterie w czaszce i całym ciele pulsowały mu boleśnie, w mózgu nurtowało pytanie, czy dobrze zrobił swoje wyliczenie, czy mianowicie po otworzeniu włazu ciśnienie powietrza wewnątrz przedziału, zmniejszonego skutkiem zalania wodą do kilkunastu stóp sześciennych, okaże się większe od ciśnienia zewnętrznego... Od tego zależało, czy ta ostatnia gra, w której stawką było ich życie, wypadnie pomyślnie.

Nie namyślając się dłużej, pchnął klapę w górę. Właz otworzył się łatwo. Do wnętrza runęła woda, ale pod lukiem otworzyła się pusta przestrzeń, wypełniona powietrzem, uchodzącym ze środka.

To, co teraz nastąpiło, było dziełem paru sekund. Jednego po drugim popchnął ku zbawczej bani powietrza wszystkich czterech marynarzy, po czym rzucił się ku niej sam, jako ostatni z żywych. Natychmiast z olbrzymią siłą został wyrzucony na powierzchnię morza, jak wepchnięta przemocą do wody i nagle puszczona piłka gumowa.

Wszyscy pięciu wyszli z tej opresji żywi i zdrowi, tylko z boleśnie popękaną na całym ciele i na twarzy skórą, której blizny dla bohatera tego dramatu pozostają do dzisiaj chlubną pamiątką dokonanego czynu.

— — — — — — — — —

Ów Polak, który tak wybitnie potrafił wyróżnić się wśród swoich kolegów-oficerów, pływał aż do wybuchu drugiej wojny światowej, jako kapitan wielkiej żeglugi w polskiej marynarce handlowej. Nazwisko jego można było spotkać często w komunikatach radiowych i prasowych z racji dalekich podróży statku, którego był dowódcą. Po pogromie Niemiec stanął jeden z pierwszych do pracy w oswobodoznej Gdyni, gdzie powierzono mu jeden z najbardziej zaszczytnych, odpowiedzialnych posterunków. To, czego młodzieńcem będąc, zdołał nauczyć się we wrogiej, carskiej służbie, oddaje z nawiązką Ojczyźnie.

TOMASZ ROSSA

LIST

Kroki odchodzącego Wiktora stopniowo cichły w klatce schodowej. Jutka wsłuchiwała się w ich milknący odgłos z przechyloną głową i pół-rzewnym, pół-smutnym uśmiechem na roztchnionych ustach.

Tak już było od początku, przez całe te trzy tygodnie, że zaledwie znikał za drzwiami już poczynała tęsknić za nim. Ale nie tylko to. Ważniejsze było to drugie: w jednej chwili przygniatał jej duszę ów niepojęty, nieznośny niepokój, który odczuwała niezmiennie, gdy Wiktora nie było przy niej, gdy się oddalał, lub miał dopiero nadejść. Tylko jego bezpośrednią obecność, jego głos, uśmiech, spojrzenia i gorące pieszczoty przynosiły jej radosną ulgę — na krótko.

Kroki ucichły zupełnie. Trzasnęła głucho zamykana brama i w kamienicy zapanował spokój. Jutka wsłuchiwała się przez moment w ten spokój, który wziął w siebie echo JEGO kroków. Potem podeszła do szafki nocnej, na której wśród różnobarwnych i codzień niemal świeżych kwiatów, stała fotografia Wiktora.

Ujęła ją w obie ręce. Patrzyła długo, oczyma coraz pełniejszymi lśnień, jakby chciała tej twarzy — martwej na kartonie — wydrzeć jej tajemnicę, złowić jej właściwy wyraz, a w nieruchomych, przepięknych i cudnie oprawnych oczach, doszukać się prawdy. Pieściła wzrokiem wspaniałą linię podbródka, a nadewszystko kształt ust bajecznie pięknych, a tak upragnionych... Oczy na fotografii nie wypadały takie, jakimi były w istocie: głęboko szafirowe, przelśnione rtęciowymi iskrami; papier nie uchwycił również ich wyrazu, tego przedziwnego wyrazu, który był ciepły i drwiący, poważny i figlarny, a chociaż spokojny — tak zaczepny, że budził w każdej niemal kobiecie drażniące a natychmiastowe bicie serca.

— „Wi"... — szepnęła Justyna cichusieńko. Uśmiechnęła się do oczu, patrzących z ramek fotograficznych wprost w jej oczy. I zaraz ciepła łuna napłynęła jej do twarzy. Ogarnęła szlafroczkiem obnażone ciało, drżące jeszcze od niedawnego szczęścia. Przy tej okazji dostrzegła na lewej nodze duży, różowy ślad...

Ogarnęło ją niewymowne roztkliwienie i serce poczęło w niej łomotać szybko... szybko... Pobiegły za nim wszystkie myśli. Widziała go, idącego w słońcu. Po swojemu ogląda się za każdą młodą i ładną buzią (Jutkę ukłuło coś boleśnie w oczy, jakby z wiatrem uderzył w nie piasek). „Buzie" też oglądają się za nim. Jest niepodobieństwem nie dojrzeć tak uderzająco pięknego mężczyzny. Czarna jak heban bujna czupryna lśni w blaskach słonecznych; rosła i doskonale harmonijna sylwetka zdaje się wypełniać sobą cały chodnik.

— ...a tymczasem on jest mój! mój! mój!... — z dumą potwierdza Jutka samej sobie w myślach, których uporządkować niepodobna.

I znów — niepokój. I znów ten ciężar nieznośny...

— Czy naprawdę mój? Co on właściwie czuje? jak i kiedy się to skończy? Jak?... Przyznał się, gdy było już „po wszystkim", że jest żonaty. Więc — kiedy się skończy?

Zęby Justyny zaczynają dzwonić jeden o drugi. Utracić go? Za nic! Jakże żyć potem? Nie — to było niemożliwe! Chyba... chyba potem... później... za długi, długi czas...

Jutka nie czuje chłodu, ale szybko ubiera się. Naciągając pończochę dostrzega znów wysoko na nodze ów różowy ślad, pamiątka po oszalałych gorączką pieszczot ustach Wiktora.

— „Ty cała jesteś ładna"... — buchnęły w niej nagłym wspomnieniem jego słowa. Mówił jej, że jest różowa jak muszla i misterna jak muszla. Huczały w niej te słowa przebrzmiałe, a dla serca tak żywe, jak radosny dzwon, wypełniając ją szczęściem po brzegi. Jak na jawie stanęły jej teraz w pamięci jego oczy, gdy to mówił... jak ją ogarniał chciwym i dumnym spojrzeniem posiadacza. Czuła się jego własnością, czymś należącym do niego i wybranym, jak pies lub ulubiony przedmiot. — Podobam się mu! Podobam się mu! — powtarzała w kółko samej sobie. Rozbierała na atomy każde

jego spojrzenie, każdy odruch, każde słowa — byle strącić z duszy ów ciężar nieznośny, a głupi, że za żarem jego bezpamiętnych uniesień, tak szybko gasnących, kryje się chłód serca i zupełny brak uczuć. On — ten oszalały, gorejący „Wi" — stawał się taki jakiś dziwny, taki jakiś nieobecny i obcy, gdy tylko mijał szał i opadała zaspokojeniem gorączka zmysłów.

— Och, gdyby on wiedział, co ja odczuwam... Gdyby wiedział... gdyby mógł zrozumieć! gdyby chciał, potrafił zrozumieć, czym jest dla mnie, stałabym się mu jeszcze milsza... — rozmyślała Jutka.

Ileż to razy miała przygotowanych mnóstwo słów pełnych miłości, a gdy znalazł się przy niej, nie mogły jej wyjść na usta. Nie potrafiła mówić. Po prostu zbyt dużo czuła, by mogła mówić. A gdy mogła mówić — jego już nie było.

Pod wpływem nagłego pomysłu roześmiała się i tak jak była, w jednej pończoszce a z drugą nogą obnażoną i bosą, usiadła do stolika, porwała z szufladki papier listowy. Oszukującymi oczyma miłości widziała już jego zdziwienie i radość (oczywiście), gdy nazajutrz zobaczy przed sobą jej pismo.

— „Wi! moje najdroższe "czarne słoneczko"! Będziesz zdumiony i zły — i pewnie będziesz się cieszył, albo może i nie... Czy ja wiem... Ale cóż poradzę, że mi ciężko bez ciebie i że zaledwie wyszedłeś, już tęsknię za tobą i już tchu mi brak. Ty pewnie myślisz, kochany, że ja jestem całkiem, całkiem głupia. O, nie! Ja wcale nie jestem taka niemądra, jak wyglądam... tylko przez te Twoje cudne oczy zgłupieję chyba do cna! Wi! Ty moje najdroższe jedyne szczęście! Gdybyś Ty wiedział, jak mi ciężko, gdy Cię przy mnie... Wciąż mi się zdaje, że ty nie jesteś tak na prawdę mój, że cię wnet — zaraz — już — mam utracić. że mi cię ktoś zabierze! Och, Wi, choćbyś ich miał (tych „bab") nie wiem ile, nigdy żadna nie będzie czuć tak, jak ja, twój — jak mi mówisz — mały „brzdąc". Mały — ale i głupi zresztą naprawdę, bo czy uwierzysz, że jest mi niezmiernie drogie wszystko, co jest twoje: twoja teczka, auto, którym jeździsz, nawet buciki twoje są inne, niż wszystkie, najpiękniejsze na świecie! Widzę już, jak się ze mnie śmiejesz! Możesz się śmiać bezkarnie: takie masz cudne zęby, tak się śmiejesz cudnie i świat jest wtedy taki cudny! A tak ciemno jest, gdy ty jesteś zły. Co ty wyrabiasz ze mną, kochany? Co ty zrobiłeś ze mnie? Jesteś cudotwórcą, albo czarodziejem, czy ja wiem — ty, taki inny niż wszyscy, albo po prostu... najpierwszy! dla mojej duszy, dla serca mego, dla mego życia! Zapewne nic więcej. tylko to! ...Ty mnie właściwie uświadomiłeś, ty pokazałeś mi życie, to najprawdziwsze i najpiękniejsze, którego dotąd nie znałam, a które tak się przed nami ukrywa!... Jedno wiem: że ty — to wszystko. Na tobie świat się zaczyna i kończy. Myśleć o tobie— to rozkosz! być przy tobie — to szczęście! być twoją — to zrozumieć Boga! Czem dla pewnych ludzi jest ewangelia, tem Ty jesteś dla mnie. Jesteś jedyny na ziemi! A ktoś głupi mówi, że jest dwa i pół miliarda ludzi... Dureń! Przecież to nieprawda: jest tylko jeden, nazywa się „Wi" i ma cudne niedobre oczka, które całuję... całuję... całuję...

Jutka zakleiła kopertę, szybko dopełniła swej toalety i w samej sukience, bez kapelusza pognała na pocztę, roztrącając po drodze przechodniów. Ktoś coś tam za nią krzyczał, ale cóż ją to obchodziło?... Najważniejsze, by o piątej wybrano list i by nazajutrz rano leżał już u niego na biurku. Na jego biurku...

Widziała już niemal ukochane ręce, rozrywające kopertę, widziała oczy najdroższe, biegnące po literach skreślonych jej ręką. Będzie się uśmiechał... Jeszcze jak! Pomyśli pewnie, żem głuptas, ale niech tam...

Gdy list głucho stuknął o dno czerwonej skrzynki Jutka przypomniała sobie z rozpaczą, że jeszcze coś miała mu napisać, a zapomniała. Ach! A to takie ważne... I zapomniała. Co to było?... Jakże mogła zapomnieć? Mój Boże, najważniejsza rzecz! Acha! już: żeby przyszedł znów i to jak najprędzej! koniecznie! By wiedział, że ma przyjść!! No — trudno. Napisze mu kiedy indziej, albo powie mu, po prostu powie. Przecież codzień telefonuje do niego! Rzeczywiście, że można tak... nic straconego! Albo... ach, tak. tak! — pójdzie do niego jutro! Rano list, a w południe — ona. Wiktor będzie się cieszył... cieszył... cieszył...

Tak postanawiając Jutka zagłębiła się — w swej drodze powrotnej do domu — w zieloną głębię miejskiego parku. Nastały właśnie dni niezmąconej pogody i upałów. W rozpalonym mieście czuli się ludzie, jak w hutniczym piecu. Więc chronili się w cień, oblegając tłumnie wszelkie zieleńce i ogrody. Panowała ciżba nie do opisania. Przechodnie tłoczyli się i rozpychali, a wśród nich uwijały się z wesołym wrzaskiem dzieci, przybrane tylko w cieniutkie figi na biodrach, opalone, czerwone od popołudniowego żaru, ale rozbawione. Siedzące na ławkach matki i niańki nawoływały bezustannie na zagubione w zgęszczonym tłumie małe. Potęgowało to jeszcze zgiełk i hałas.

Jutka z trudem przepychała się przez tą płynącą masę. Chciała nieco usiąść w cieniu, ale wnet zrezygnowała z tego zamiaru. Wrzask, zaduch stłoczonych przepoconych ciał, tłok — były dla niej stokroć przykrzejsze, niż żar nasłonecznionej ulicy. Możliwie najszybciej chciała przedostać się na wolną przestrzeń, ale stawało się to z każdą chwilą coraz trudniejsze. Środkiem głównej alei nie można wprost było ruszyć się, a Justyna była w tej chwili właśnie w środku. Przecisnęła się wreszcie w stronę ławek i depcąc niemal po obuwiu siedzących, krok za krokiem posuwała się naprzód. Jakiś gruby mężczyzna wstał nagle z mijanej przez Jutkę ławki i nurknął w tłum, ustępujący z sarkaniem pod naciskiem ciężkiego cielska. Jutka zziajana i zmęczona, że z trudem chwytała powietrze, a w oczach migotało jej wszystko czerwono i żółto. Oparła się łokciem o poręcz ławki i wtuliwszy głowę w dłoń, zagłębiła się w myślach.

I myśli te zaraz — mimo wszystko — wypełniły się radością i szczęściem. Dwudziestoletnie dusze są zawsze gotowe na ich przyjęcie i rozchylone, jak kwiaty na przyjęcie owadów. Jutka poddała się całą tą swą dwudziestoletnią siłą duchową pod działanie szczęścia, które spadło na nią, jak huragan.

Pierwszy raz ujrzała Wiktora na ulicy. Zasko-

czona urodą przechodnia obejrzała się mimo woli — i wówczas zauważyła, że przystanął, obejrzawszy się za nią i natarczywie się jej przypatrywał. Przyspieszyła natychmiast kroku, ale serce biło jej mocno — i od tej chwili w ogóle nie przestała myśleć o nim. Spotkała go znów za kilka dni, potem znów... i znów... — widocznie tropił ją wytrwale. Wreszcie wysłana przez swą firmę pracodawczą do kierownika zainteresowanej wspólnymi sprawami instytucji — znalazła się przed nim twarzą w twarz, w jego gabinecie, przy jego biurku.

I tak zaczął się sen... Wiktor był napastliwy, niecierpliwy, gorejący, rozkochany. Jutka wpadła w jego ramiona, jak mucha w sieć pajęczą, omotana spojrzeniami, uśmiechami, słowami pełnymi żaru i... swym własnym sercem. Jeden człowiek wypełnił jej świat. Serce ufnej dziewczyny biło przekonaniem, że i ona sama wypełniła świat tego pięknego mężczyzny, za którym oglądały się wszystkie kobiety.

A Wiktor?

Właśnie woźny wszedł i razem z pocztą urzędową przyniósł blado seledynowy list, duży, elegancki i pachnący. Pismo wydało mu się znajome.

— Acha, Jutka! — pomyślał, uprzytomniwszy sobie nagle widziany kilkakrotnie charakter jej pisma.

Przypuszczał, że może wyjeżdża gdzieś na kilka dni i uprzedza go o tym. Owładnęło nim uczucie ulgi na samą tę myśl i pragnął, by się nie mylił.

W miarę, jak czytał, złość migotała mu w oczach, jak utajony i przyczajony w chmurach błysk pioruna. Dziwnie poruszył ustami z nudą i wzgardą. Czytał coraz szybciej i coraz niebalej. Nagle zmiął list w potężnej dłoni i rzucił gwałtownie w kosz na śmieci, stojący obok biurka.

— Idiotka! — wybuchnął sam do siebie.

Burzył się wewnątrz i kotłował. Był po prostu wściekły. Zdenerwowała go w najwyższym stopniu świadomość, że Jutka zaangażowała się uczuciowo, więc nie łatwo i nie prędko uda mu się wyzwolić z tej przygody. A właśnie miał zamiar to zrobić i szukał w myślach najodpowiedniejszej formy. List Jutki wytrącił go z marzeń, że to łatwo przeprowadzi. Bał się bowiem i nienawidził scen rozpaczy i łez.

Stracił humor. Pracownicy odczuli to momentalnie, bo trzaskał drzwiami, rzucił telefonem, sklął woźnych, huczał na pracowników, jak na orne woły.

To też o mało go, jak się to mówi, „szlag nie trafił", gdy około dwunastej woźny zaanonoswał: „jakaś pani do pana kierownika" — i w drzwiach stanęła Jutka.

Ślicznie uczesana i ubrana apetycznie, świeża i wdzięczna jak bukiet kwiatów, uśmiechała się, na próżno czekając na jego uśmiech. Chciał — to prawda, i wykrzywił się dziwnie, a gniew i niezadowolenie tak wyraźnie goniły w jego oczach, że uśmiech Jutki gasł stopniowo, wreszcie zniknął. Wiktor silił się na uprzejmość, ale do wrażliwej duszy dziewczyny doleciało obcością i chłodem aż wrogim. Zbladła.

— Wi...

— Chciałaś czegoś?

— Nie. To znaczy tak... zobaczyć cię.

— Przecież wczoraj mnie widziałaś — zęby błysnęły mu, jak u brytana, a krucze brwi zbiegły się wyrazem nienawiści.

Patrzyła oczyma szeroko otwartymi w tę twarz najdroższą, a tak zmienioną. Myślała, że może ma jakieś urzędowe kłopoty. Bezładnie goniła spojrzeniem, by nie patrzeć w tę straszną twarz.

Odwołano go na chwilę w urzędowej sprawie. szorstko: „przepraszam" i wyszedł. Usiadła, jak automat. Oczy jej błądziły z lękliwym zdziwieniem po przedmiotach i padły wreszcie na kosz od śmieci. I natychmiast powieki jej zatrzepotały płochliwie, a oczy znieruchomiały na seledynowym arkuszu, który leżał sponiewierany, zmięty i obelżywie ciśnięty w śmiecie.

Schyliła się, podniosła, wyprostowała papier i wygładzała palcami. Potem ręką przeciągnęła po czole, zwilgłym od potu.

List... Jej list, pisany nie ręką, tylko sercem! List, w którym zamknęła się jej ewangelia życiowa, jej miłość, wiara, szczęście, rozterka... nadzieja... Ten list... Zmięty, jak świstek... W śmieciach...

Patrzyła, nie wierząc po prostu własnym oczom, w ten arkusik zniszczony, jak jej młode złudzenie. Biegała na pół oślepłymi oczyma po słowach, urywających się na załamaniach zmięć:

...na tobie świat się zaczyna i kończy"...

...być przy tobie — to szczęście...

...czym dla pewnych ludzi jest ewangelia, tym ty jesteś dla mnie...

Wiktor wszedł. Przeniosła oczy, pełne straszliwego, naiwnego wprost rozczarowania i zgrozy, z seledynowego strzępa na jego twarz, spojrzała w jego źrenice oczyma, pełnymi obłąkanych łez.

Spojrzał.

— O co ci chodzi? Że też ci się chce marnować atrament i papier na wypisywanie takich idiotyzmów. Po co to takie bzdury wypisywać? Czy nie masz innych zajęć?

Zbielała i nogi osłabły pod nią. Świadomość okrutnej prawdy, odczuwanej przecież tak niespokojnie i tak bezustanie, tłumiona sztuczną siłą miłości i wiary, obraz jego rzeczywistej nagiej duszy — uderzyły w nią jak olbrzymi słup zimnej wody. Zdrętwiała. Nie mogła zdobyć się na słowo, ani na ruch żaden — i stała tak, do szpiku kości przejęta grozą i bólem. On również milczał i coś niezręcznie manipulował przy biurkowych przedmiotach, nie patrząc na nią, by uniknąć widoku jej twarzy i oczu, jej pytań, skarg, słów...

A ona nagle, jakby poderwana z miejsca mocną ręką, ruszyła — i kierowała się szybko w stronę drzwi. Wypadła przez nie, nie zamknęła ich nawet, przeszła przez sale i wybiegła na ulicę.

Miała w mózgu kompletną pustkę, tylko pod całą czaszką paliło coś, jakby żywy płomień, a kłu-

ło, jak gwoździe, wbijane przemocą. W oczach mętno a dziwnie jasno — jasna — aż biało — ...czy od słońca, które lunęło na nią oślepiająco, bijąc z murów i bruków?

Jutka nic nie wie. Właściwie wie, ale jedno tylko: że już skończyło się wszystko, a więc i życie. Nie ma już poco żyć? a więc już nie chce żyć. Nie chce! Nie chce!! Nie chce!!! Och, móc wyrzucić z siebie duszę, serce, mózg, przeszłość i to co było teraz... I tę ohydną pustkę... i ten okropny płomień w głowie... te gwoździe... Skończyć!!!

Białą od słońca jezdnią nadjeżdża z oddali czarna limuzyna i mknie cicho, zdradliwie, szybko jak śmierć, bo jezdnia jest całkiem pusta — w stronę budynku, na którego schodach stoi Jutka. Spojrzała. Oczy jej zabłysły sucho.

Uśmiechnęła się, nagle wyciągnęła ramiona, jak do szczęścia i rozwinąwszy je, niby ptak skrzydła, wybiegła naprzeciw...

Aaaach!!!... Rozpaczliwy zgrzyt hamulców i przeraźliwy krzyk przechodniów, zlały się w jedno. Wdzięczna jasna sukienka zamigotała kilkakrotnie w obrocie przystających kół, a mały popielaty pantofelek potoczył się jezdnią, jak spłoszony gołąb.

Równocześnie jakaś siła dźwignęła zbielałą główkę z rozsypanymi kasztanowymi włosami — i cisnęła nią miażdżąco o krawężnik.

Szofer wypadł z limuzyny, obłąkany rozpaczą i lękiem. Ludzie otoczyli go, pokrzykując groźnie i wrogo, a jemu łzy wielkie biegły po twarzy:

— To nie moja wina! Przysięgam! — krzyczał.

TOMASZ ROSSA

PRZYMIERZE

Deszcz walił o małe szyby, które drgały i dźwięczały żałośnie, jakby je płacz rozpierał. Wicher dziki, piekielny, szarpał snopy świeżo na jesień szytej strzechy, aż w słomie jęczało sucho, a trzaskało, jakby pies oszalały po dachu harcował. I cała chałupa wtulona w dwie wielkie grusze, jak pod opiekuńcze skrzydła, chybotała, trzęsła się, łkała najżałośniej — bezsilna. Te dwie grusze aż do ziemi się gięły, zamiatając rozczochranymi smutno koronami błoto i śnieżno-deszczowe kałuże.

Właściciel owej świeżo krytej chaty i owych rozczochranych grusz, 25-letni Szymon Gołda, złym okiem spoglądał przez małe okienko na skłębione ponad światem chmurzyska, na dziką hulankę śniegu z deszczem — i gorsza jeszcze burza targała jego młodą duszą. Zdawało się, że ta przeklęta biesia pogoda przechyli wreszcie szalę jego postanowienia, usunie wahania, wydobędzie zeń decyzję, na którą zdobyć się chciał, strasznie chciał... — a nie mógł: odbieżać ojcowizny, sprzedać grunt rodzinny a samemu pójść, przygód, kariery i szczęścia szukać w wielkim mieście. Tak doradzał mu przypadkowy kolega, znajomy, pracujący w wielkim mieście.

A tak namawiał, tak kusił, tak powabne obrazy malował przed Szymkiem, że wreszcie zaszczepił truciznę w niezepsutą jego duszę.

— Miasto! Gwar! Ruch. Setki tysięcy ludzi! Zarobki. Kina i knajpki... Dziewczęta... Nie takie prostaczki od gnoju, jak na wsi... Co tu będziesz gnił na tej wsi zatraconej? Do miasta! Tam dopiero życie!

I oto szarpał się Szymek we dwie strony, do ziemi giął się wespół z tymi gruszami na polu. Sprzedać — nie sprzedać? Iść — nie iść?

Na polu zmierzchało zwolna. A wieczór mieli przyjść kupcy, bo Szymek z początku szybko się zdecydował, porwany tęczowymi obrazami miasta. Wiadomo — młody głupi,, tyle nawet rozumu nie ma, co na własną potrzebę.

Przed chatą zachlupotały w kałużach ciężkie kroki ludzkie.

Młody Gołda drgnął.

— Czyżby kupcom było ta spieszno?

Drzwi sieni zawarły się z głuchym trzaskiem. Potem do izby ktoś zapukał nieśmiało.

— Wejdźcie! — krzyknął Szymek i uniósł się nieco z ławy.

W progu stanął niemłody człowiek, ubogo odziany, mizerny, jakby chory.

— Pochwalony...

— Na wieki! A czego chcecie?

— Pozwólcie spocząć, młody gospodarzu. Taka psiachmać wichura, a deszczysko, że kroku dalej nie ujdę. A do mojej rodzinnej wioski jeszcze ze dwie godziny drogi!

— Skąd idziecie?

—A z miasta...

Szymek drgnął. Uważnie spojrzał w twarz mizeraka, który z kolei życzliwie spoglądał w młodą, rumianą i zdrową, resztkami letniej smagłości odciemnioną twarz gospodarza.

— Siadajcie! Przy piecu. Cieplej wam będzie! Przemokliście?

— Ho, ho! Co by nie... — przybysz rozwieszał koło pieca zmoczony płaszcz zniszczony i przetarty, rzadziznami świecący, buty ściągnął i podsunął — mokre doszczętnie — w stronę popielnika.

Szymon bez słowa wydobył bochen chleba ze

skrzyni, przymuszon najświętszym obyczajem gościnności, ciepłego mleka z garnka, co na piecu stał, nalał do fajansowego garnuszka.

— Zagrzejcież się! — zaprosił krótko.

Poczęli potem gwarzyć o tym i owym. Ale słowo „miasto“ paliło jak węgiel gardło Szymka i wnet na to naprowadził rozmowę.

— Wy skąd?

— A z Brzozowic...

— Długo byliście w mieście? Tak wam zazdroszczę...

— Przeszło dwadzieścia lat! Zazdrościcie? Czego? Toż ja uciekam stamtąd, szczęśliwy, że chociaż chleb suchy jeść będę ,ale na wsi, wśród swoich!

Niebieskie oczy Szymka wpiły się chciwie w usta przybysza.

— Źle wam było? — spytał niepewnie. — Pewnieście nie umieli poradzić osbie...

Od słowa do słowa. Przybyły dość dużo mówił, a nie głupio. Zaraz miarkował Szymek, że to mądry człowiek, obyty i doświadczony. Więc wreszcie wyznał mu swój zamiar i namowę kolegi i — sam sobie się dziwiąc — zapytał obcego, co o tym myśli.

Przybysz przez chwilę patrzył milcząco w płomień różowy i migotliwy pod szczelinami blachy.

— Obyście krwawymi łzami nie płakali później... — rzekł spokojnie i zwolna, jakby każde słowo odważał na wadze.

I znów zapatrzył się w płomień, a serce Szymona poczęło bić dziwnie trwożnie i niespokojnie.

— Tak myślicie? — zagadnął nieśmiało.

— A czegóż wy szukacie w mieście? wy — gospodarskie dziecko! Co tam jest dla was? Oszukano was, omamiono, ktoś was dobrze wykorzystać chce, a podejść... Bo i czym będziecie w mieście? Przecież nie „panem“, jak się to mówi, bo ani majątku nie macie, ani szkół! Wy — rolnik, gospodarskie dziecko, z ziemi żyjecie i ją tylko macie! Tu jesteście na swoim, gospodarz z dziada pradziada i pot waszych ojców wsiąkł w te święte grudy! A tam czym będziecie? Przecież nie pójdziecie do urzędu, ani do żadnej firmy, bo na to trzeba więcej szkół, niż wy macie! Nie założycie żadnego warsztatu, bo i rzemiosła żadnego was nie wyuczono. Więc czym możecie być? Ot, sługusem, robotnikiem! Nie syn gospodarski, jeno prostak, „cham“, jak mówią. Obcy to świat, inni ludzie, choć jedną mową wszyscy mówią. I dużo jeszcze przyjdzie chłopom pszenicy zasiać, a miastom kamieni utłuc, nim w jedno równe sobie się stopią. Zresztą — serca nie brak... Jeno rozum nie jednaki. O to chodzi, widzicie! Myślicie, że miasto — to raj? Kto wam owe głupstwa prawił? Taka sama dola krwawa i znojna, jak i tutaj! A może... może... powiem wam, gorsza! A życie ponad wasze młode pojęcie trudne i ciężkie. Toż miastowi ludzie przez rok cały od gęby sobie odejmują, by na miesiąc chociaż przyjechać na wieś, za grosz uskładany — tu, na wsi pozostawiony — świeże powietrze wciągnąć w umęczone, zadymione i chore płuca! By się mleka uczciwego napić! By zieleń ujrzeć i w polu posiedzieć! Nie wyżyje bez tego człowiek — jak bez chleba! Tak już Bóg urządził. Ot, przeszło dwadzieścia lat tego „szczęścia“ mam za sobą. Patrzcież, jakom się dorobił bogactwa, a przyodziewku, a majątku... Gospodarskie dziecko jestem, jak i wy, miasta mi się zachciało. Dziś wracam, bo i nie czekali, aż sam ucieknę — wygnali, bo pracy dla mnie zabrakło. Niepotrzebnym... Nikogo nie mam na świecie, sam, jak ten kol w płocie! Ale bylem kęs chleba zdobył — nie będę rozpaczać! Tak to, tak... Ale wy macie już swoje lata... Róbcie, jak sami chcecie! Nie namawiam. Nie odrodzam. Pytaliście jeno sami, co myślę o tym...

Przez okno przyglądał się w zamyśleniu rozkołysanym gruszom. Już nie kładły się tak po ziemi. Wiatr przycichał, a niebo wypogadzało się, niby ręką ludzką prostowana pomięta szmata. Jaśniały białe przebłyski przez uciekające chmury — widać było, że wnet chyba rozpogodzi się.

To samo działo się w duszy Szymona: cichł wicher i burza, a złocista jasność napływała zwolna do wzburzonego umysłu. Oczy jarzyły mu się teraz wesołością. Pogadali jeszcze, ale o gospodarstwie, o koniu, o samotności Szymkowej na ojcowiźnie...

Przybysz obserwował piękne grusze przed domem.

— Sielne gruchy... Jak wieże! Ale wyrostkiem, toście chyba niezgorzej łazili po nich?...

— A jakże! — roześmiał się radośnie Szymon. Raz nawet spadłem i tak się stłukłem, że przez dwie niedziele ani gnatem nie ruszyłem!

Wstał. Naciągnął kożuch, czapkę wciskał na czoło.

— Wychodzicie? — zagadnął przybysz.

— ...eno na chwilkę... Zostańcie, proszę! Siedźcie przy moim piecu, choćby całe życie!

Wybiegł pospiesznie.

Pokłoniły mu się drzewa w sadzie, sadzonym ojcowską, ba — dziadową jeszcze — ręką. Zawołała go ku sobie rola, ciemniejąca opodal za ogrodem.

Pobiegł ku niej. Zachłysnął się aż wilgotnym ostrym powietrzem. Wyciągnął przed siebie ramiona, jakby do szerokiej piersi chciał przytulić tę ziemię rodzinną, w którą tyle wsiąkło pracy i znoju. Rozmiłowanym okiem obejmował pokryte zwilgłym śniegiem łany, pozornie jeno śpiące, bo pod nimi kiełkował już nowy chleb powszedni, o który codzień modlimy się Chrystusową modlitwą, najcudniejszą z wszystkich modlitw.

Szymonowi wiatr świstał wesoło koło uszu, a deszcz z delikatnym pluskiem ochładzał młode rozgorączkowane czoło. Zawrócił do domu.

A gdy spojrzenie jego padło na mokry próg, ujrzał niby na jawie, swego zmarłego ojca, siadującego na tym progu w letnie zmierzchy... I dziad jego siadywał... i tamtegoż ojciec... — i w różowych łunach słonecznych patrzyli w pszeniczne złoto, upstrzone szafirem chabrów i krasą maków. I w to niebo przeczyste, pod którym jeno prawdziwie człowieczo się żyje... Siadywały ojce jego i dziady i matka niezapomniana — na onym progu, który sprzedać chciał za ułudy.

Szymon nagle padł na kolana i z przejmującą pokorą przytulił usta do ciemnego drzewa. Całował, jak w modlitwie kościelną posadzkę, ów próg chwały i przeszłości, próg rodzinny, pracy i szczęścia — na śmierć i życie zawierał z nim nierozerwalne, święte przymierze.

Wydawca: Agencja Reklam Wydawnictw „Reklama“, Kraków [illegible] 68 Tel. 587-67 — Redaguje Kolegium
Druk. w Drukarni I pod Zarządem Państwowym. Kraków, Wielopole 1. M—13163